Rok 1897. Nr. 41.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy do „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Redaktor: **Izydor Kuncewicz.**

JÓZEF GERTOWSKI

Demon zniszczenia...

Demon zniszczenia chmurą omroczony,
Trzymając w dłoni piorunowe groty,
Pędzi po drodze od błyskawic lśniącej —

I niszczy wszystko w zemście zaślepionej,
Nie bacząc, czy to pełne sił istoty,
Czy twór spruchniały, z wyczerpania schnący.

Z dębem skarlałym, pada dąb wspaniały,
I puste kłosy z kłosami pełnemi —
I kwiat więdnący i kwiat barwą świeży.

Razem z podłością giną ideały...
I smutno, smutno na bezmiarach ziemi
I jedno zgliszcze spopielone leży.

KNUT HAMSUN.

PIERŚCIONEK.

W pewnem towarzystwie widziałem kobietę, drzącą od miłosnego wzruszenia. Oczy jej wydawały się wówczas o wiele więcej niebieskie i o wiele więcej błyszczące niż zwykle. Uczuć swych nie umiała skrywać, choć kiedyindziej, była chłodna i rozważna. Znałem ją bardzo dobrze — była to bowiem moja narzeczona.

Kogo kochała?.. Ach, to rzecz bardzo prosta! Syn gospodarstwa, podejmujących właśnie towarzystwo, wyglądał tak wspaniale w swym błyszczacym uniformie, miał tak płomienne oczy i głos tak dźwięczny, że musiał mieć szczęście u płci nadobnej a płochej.

Boże, jakiem czułem spojrzeniem obrzucała ona postać żołnierza! Z jakim nerwowym niepokojem śledziła każdy ruch jego rąk, każde drgnienie jego ust, głosu!..

Gdyśmy wieczorem opuścili towarzystwo, rzekłem do niej tonem obojętnym:

— Pogoda sprzyjała nam dziś istotnie przez dzień cały. Czy bawiłaś się dobrze?

Równocześnie, obudziła się w duszy mej potrzeba ulżenia jej w przykrej sytuacji. Zdjąłem z palca pierścionek zaręczynowy tak, ażeby ona zauważyć to mogła i rzekłem:

— Popatrz, twój pierścionek stał się dla mnie za ciasny, gniecie mnie. Czy nie byłabyś tak dobra i nie kazałabyś mi go rozszerzyć?

Z gorączkowym pospiechem pochwyciła lśniącą, cienką obrączkę i chowając ją szepnęła:

— Tak, daj mi to... każę go złotnikowi rozszerzyć...

Następnie pożegnaliśmy się, mówiąc sobie „dobranoc“.

*
* *

Dopiero w miesiąc potem spotkałem się z moją narzeczoną. Chciałem ją zapytać o pierścionek, ale pomyślałem, że zbytnio nie należy się spieszyć, że lepiej pozostawić rzecz jeszcze przez jeden miesiąc w zawieszeniu.

Czekałem cierpliwie, lecz gdy ją po miesiącu znowu spotkałem, zapytałem o pierścionek.

Spuściła oczy ku ziemi, mówiąc:

— Ach, prawda... pierścionek. Muszę ci powiedzieć, że mam zmartwienie z powodu tego pierścionka. Zapodział mi się gdzieś, a może go zgubiłam...

Zamilkła wahając się, czekając co jej odpowiem.

— Czy gniewasz się na mnie? — zapytała potem.

— Nie — rzekłem, twarz odwróciwszy.

Jakby od trapiącej zmory oswobodzona, odetchnęła swobodniej. Wesoło pożegnała się ze mną i odeszła.

*
* *

Rok od tego czasu upłynął. Wróciłem po dłuższej nieobecności do rodzinnego miasta. Przebiegałem znane mi dobrze ulice, błądziłem po zacisznych, pustych alejach parkowych.

Spotkałem się z nią. Oczy jej wydawały się bardziej niebieskie i bardziej błyszczące, niż kiedykolwiek przedtem. Spoj-

rzały na mnie z wyrazem dziwnego jakiegoś pragnienia. Usta jej natomiast, stały się jakby większe i straciły swą dawną barwę.

Zdaleka już zawołała do mnie:

— Znalazłam pierścionek, twój zaręczynowy pierścionek Kazałam go złotnikowi rozszerzyć, nie będzie cię mój kochany gniótł więcej!

Spojrzałem na biedną, opuszczoną kobietę. Poruszenie jej dużych, bladych ust, podobniejsze było w tej chwili do bolesnego skrzywienia, jak do radosnego uśmiechu. Następnie rzuciłem wzrokiem na pierścionek.

— Ach popatrz! — rzekłem, zaglądając jej prosto w oczy — nie mamy szczęścia z tym pierścionkiem. Teraz jest dla mnie za wielki!

Wcisnąłem jej w rękę obrączkę i odszedłem bez pożegnania.

Włodzimierz Koszyc

Oleandry.

(Ciąg dalszy).

Żachnął się z tego powodu Gorylski i wstrząsnął ramionami.

— U pań, to zawsze gusła i zabobony... Mojem zdaniem nowoczesność nie znosi nawet w żartach przesądu. Nie lepiej byłoby powiedzieć: pocałowałyście się panie, więc na razie nie będzie burzy... Deszcz przecież nie powstaje z całusów... Robi się naprzód chmurka, potem chmura, potem jeszcze chmurzysko... W tem wielka symetrja... Mnóstwo przysłów i porównań utrzymuje się tylko dzięki brakowi ścisłej logiki w ludziach...

Pani Łucka czując, że się zanosi na długie, profesorskie kazanie, prosiła wszystkich na podwieczorek.

Gorylski podziękował skinieniem głowy, lecz jednocześnie oświadczył:

— Muszę trochę przeczyścić maszynę, bo mam już taki system. Oczywiście, państwo nie gniewają się...

I zanim usłyszał odpowiedź, pobiegł do roweru, otrzepał go szarą szmatą, poczem dopiero wrócił do towarzystwa, które siedziało już przy stole.

Gwarno było i wesoło. Gorylski robił co chwila nowe uwagi, które wprawiały kobiety w doskonały humor. Gdy mu pani Łucka położyła na talerzu kilka plasterków ozoru, ułożył je w kółko, tłómacząc się, że nadewszystko lubi symetrję. Potem przysiadł się do Felci i wznawiał wspomnienia wspólnego z nią pobytu w Iwoniczu. Ona słuchała jednak tych wspomnień niechętnie, — bo jeździła tam w czasie sezonu na gościnny występ z niebosz-

czykiem bratem. To też na jej dobrej, pełnej cierpienia i cichej rezygnacji twarzy, malował się niepokój. Aby zerwać nieprzyjemną rozmowę, zapytała:

— Co też słychać w mieście? Czy dużo na lato zostało znajomych?

Gorylski kiwnął niechętnie dłonią:

— Przecież pani wie, jak mało zajmuję się ulicą...

— Nie udawaj świętoszka, Dziuniu! — rzekł Kulisz. — A jakże tam z Silnicką?... No, nie wstydź się... Całe miasto o tem trąbi..

— Jesteś kalumniatorem. Władek... Silnicka jak była Silnicką, tak jest nią... Lubię ją w rolach *franche coquette* i nic więcej... To wolno...

— Opowiedz prawdę, Dziuniu, a w nagrodę będzie potem, ot, wiesz...

Mrugał błyskawicznie powiekami, co miało oznaczać grę w domino.

Gorylski dumny, że ma opinję zdobywcy serc kobiecych, żachnął się i obruszył pozornie.

— Oczywiście, wielka mi rzecz... Silnicka jest chimeryczką i histeryczką... U niej jak padnie na kogo... Grała niedawno temu w „Honorze". Wszyscy jej gratulowali i mieli słowa zachwytu, a ja tymczasem powiedziałem prawdę. Czekałem na nią po przedstawieniu i wprost rzekłem: bardzo to ładnie, ale pani robiła dziewczynę zepsutą, ladacznicę, a Suderman chciał odtworzyć tylko duszę lekkomyślną, nieświadomą jednak grzechów, w jakie popada...

Pani Łucka potwierdziła:

— Zupełnie słusznie...

— Otóż wywiązał się między nami łagodny antagonizm, a jak państwu wiadomo, antagonizm bywa często w stosunkach z kobietami najkrótszą drogą do zbliżenia. Ona wymyślała mi potem w czasie wizyt i przy spotkaniu na ulicy: jesteś pan błaznem, masz długie uszy, podobnyś do filozofa z pod ciemnej gwiazdy... Ja pokornie nibyto słuchałem, ze skruchą brałem notatnik do ręki i robiłem następujące zapiski: dnia 25. czerwca 1897 r. o godzinie 5. popołudniu raczyła mię poczęstować pani Sabina następującym pasztetem: tu uwieczniałem wszystkie przezwiska. Dnia 2. lipca, o godzinie 12. minut osiem, było znowu to, i tak ciągle, aż się uzbierało sporo rozmaitych przycinków. Po trzech o ile się zdaje, miesiącach, zesumowałem wszystko i przekonałem ją, że użyła przeszło stu pięćdziesięciu dokuczliwych terminów. Roześmiała się i podała mi serdecznie rękę: najlepiej wroga rozbroić cierpliwością, zawyrokowała. Tak jest, odparłem i jesteśmy odtąd przyjaciółmi...

— Jakimi?... wtrącił Kulisz, ale zamilkł wnet, bo Gorylski nastroszył się nieprzyjemnie i strzelił pod stołem z podrażnienia z palców.

A Mitka, której oczy do figlów były stworzone, zaczęła „naciągać“ na nowy temat. Jeszcze wszyscy patrzyli na siebie znacząco pod wpływem opowieści Gorylskiego. — gdy ona zapytała znienacka:

— A jakże, panie Dziuniu, z tą drogą na rowerze do Aten i na wschód?

On był trochę pytaniem strapiony, — bo szumnie w dziennikach rozpuścił pogłoskę o podróży swej do Aten na bicyklu, więc odparł krótko:

— Wzięli się za łby Grecy z Turkami, trzeba było odłożyć... Zresztą, mam na wykończeniu nowe dzieło filozoficzne. Oczywiście pojmuje pani, że to przeszkadza...

Po kolacji wstał Gorylski, ucałował dłonie wszystkich pań i pożegnał się uroczyście.

— Jutro z rannym brzaskiem opuszczę ten dom gościnny. Niech mi panie raczą wybaczyć, że na chwilę bodaj byłem im ciężarem.

Podniosły się ogólne protesty, a Kulisz, korzystając z wymiany grzeczności, odszukał pudełko domina i pokazując je ponad głową Mitki, mrugał zawzięcie oczami. Zrozumiał to Gorylski, bo odpowiedział również mruganiem i wśród ugrzecznionych ukłonów, wycofał się do przeznaczonej mu na noc izdebki.

W kilka dni po wizycie Gorylskiego postanowiła pani Łucka urządzić wycieczkę na szczyt pobliskiej góry. W perspektywie zdawało się, że góra jest tuż pod samym dworkiem, w istocie trzeba się było na nią piąć przeszło pół godziny. Pani Łucka z początku wahała się i bała, bo sama była bardzo nerwową i zupełnie osłabioną, w końcu jednak zadecydowała:

— Muszę spróbować dalszego spaceru... Nie możemy tu siedzieć jak w areszcie.

— I mnie paniusia zabierze z sobą!... — dodała Bronia.

Matka wraz ze mną odezwała się równocześnie:

— Teraz niepodobna, zostaniemy z tobą, potem może...

— Wiem, że jestem kaleką i o własnej mocy ruszać się nie mogę, ale choć do stóp góry powieźcie mię na wózku.

Pani Łucka wytłómaczyła matce, że nie ma powodu upierać się, więc matka się zgodziła. Około czwartej popołudniu wyruszyliśmy z domu. Mitka prowadziła pod ramię Felę, Kulisz popychał wózek Broni, za nimi szła matka z panią Łucką, a wreszcie Marcysia. Kiedyśmy znaleźli się u stóp góry, oświadczyła pani Łucka:

— Chyba się nie rozdzielimy. Jeżeli już dalej nie można, zostaniemy z Bronią.

Lecz Bronia prosiła:

— Tam pod górą, gdzie krzyż stoi, ścieżyna dobra; powieźcie mię wyżej...

Ruszyliśmy zatem ponownie. Zatrzymaliśmy się dopiero pod krzyżem, ustawionym na pamiątkę mordu tu popełnionego w 1846 roku, jak wskazywał napis na blaszanej tabliczce. Miejscowy proboszcz schronił się w te strony przed cepami rozjuszonego chłopstwa i padł ofiarą zgraji, chociaż się zasłaniał monstrancją. Naokół, ogromny był widnokrąg i ogromne góry. Tuż, tuż siniały wyraźnie nakreślone kontury Tatr, poszarpane, groźne. Małe i większe wierzchy pod nami i nad nami falowały, ścigały się wzajemnie. Wszystkie kolory tęczy spoczęły na nich i mieniły się w blaskach łagodnego słońca. Najniżej leżały Łąki, podobne do stada bieluchnych gołębi, które wtuliły główki pod skrzydła i zasnęły. Cisza wielka. wisiała w przestworzu i płynęła po powietrznej fali. Szumiały tuż na pobliskich stokach bory, bo wietrzyk słaby padał na ich czuby, — ale szum w tym bezmiarze był szmerem skrzydeł majowego chrabąszcza. I my byliśmy martwi i niemi na chwilę, jak ta otaczająca nas przyroda. Milczenie przerwała Bronia wykrzykiem:

— Boże! Boże! jak mi tu dobrze i strasznie zarazem!...

Zakryła twarz dłońmi i znowu ją odsłoniła, a wraz z nią załzawione oczy.

— Broniu, co tobie? — zapytała z przerażeniem matka.

Zebraliśmy się koło jej wózka.

— Ależ nic, zupełnie nic, chwilowe wrażenie...

Kulisz odciągnął na bok panią Łucką i szepnął jej do ucha:

— Widziała pani, jakie ma oczy dzikie, chmurne... Twarz się też zmieniła...

Pani Łucka idąc zaś za głosem swej artystycznej i wrażliwej natury, odpowiedziała z pewną otuchą:

— Pewnie oddziałała na nią ta wspaniała panorama...

Wszyscy też uspokoili się i usiedli na ziemi, dla spoczynku.

(C. d. n.).

ZDZISŁAW ART.

O POEZJI ASNYKA

(Ciąg dalszy).

Trzy akordy górują w tym tomie nad tonami wydobywanymi z lutni poety. Pierwszy z nich rozbrzmiewa ku czci ojczyzny i zaznajamia nas z uczuciami poety, odczuwającego jej nie-

szczęśliwe położenie — drugi, to walka społeczna, kwestja socjalna, będąca dziś na porządku dziennym — trzecim zaś są zagadnienia filozoficzne, nurtujące w mózgu każdej myślącej jednostki.

Z tego, co było, najbardziej go obchodzi rok 1863. Asnyk, gorący zwolennik tej tytanicznej walki, powstaniec z r. 1863, stacza walkę historjozoficzo - poetyczną z tymi, którzy pamięć tego boju o wolność narodu poniewierają. Rok 1863, to rok nieszczęścia, głoszą zwolennicy trzeźwości.

„Wieleż to razy ciebie przeklinano — powiada Asnyk —

A z tobą, marzeń zdradliwą ponętę;
Za każdą świeżą z ręki wroga raną
Zawsze twe imię wracało przeklęte
I zamrażało żywsze serc porywy,
Krzykiem zwątpienia i bojaźni mściwej.

Z twoich doświadczeń czerpano nauki
I niewolnicze wysławiano cnoty,
Gaszono skrzętnie święty żar — dopóki
Męskim zapałem tchnęła pierś Heloty,
Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt polskiemu uczuciu zadany.

Za twoje grzechy, Polskę z mieczem w dłoni,
Z szat obnażono jak jawno-grzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono i plwano w jej lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka.

Wszystko to w spadku po tobie zostało:
Grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha,
Bunt tych, co widząc mdlejące już ciało
Śmieli doradzać samobójstwo ducha,
I więzy, które mocniej się nam wpiły,
I łzy palące... i wstyd... i mogiły!...

A jednak z czcią obchodzimy pamięć tego roku, najbliższa bowiem to z naszych pamiątek, tymczasowe zamknięcie rycerskiego rapsodu, skupiającego serca nasze przeciw wrogom wolności.

Nie jest on przeto „klątwą nieba“ ale był duchową potrzebą narodu, zmuszonego do wypowiedzenia przed obliczem wrogów nieśmiertelnego słowa: jestem!

Rok 63-ci powstał na podstawie ruchów rewolucyjnych wstrząsających Europą, na podstawie „działalności wieszczów krwawiących swe piersi łabędzie“ i męczenników rwących się

do czynu — nic przeto dziwnego, że musiały uderzyć żywiej wszystkie tętna i obudzić „gniew i boleść namiętną nad poniżeniem i hańbą ojczyzny". Ostatnia walka o wolność, nasuwa poecie mimowoli porównanie gorących porywów z działalnością dzisiejszych pseudo-patrjotów.

Nie było nawet podówczas w zwyczaju
W dyplomatycznej ślizgać się zabawce,
W lada koniuszym lub dworskim lokaju
Zaraz Ojczyzny upatrywać zbawcę,
I tym co jawnie wyrzekli się Polski —
Dawać na kredyt mandat apostolski.

Kiedy kto z wrogiem chciał wchodzić w konszachty
I stawiać złote zjednoczenia mosty,
Nie powiadano w gronie braci szlachty
Że to mąż stanu, lecz że zdrajca prosty,
I nie wróżono nowej szczęścia ery
Widząc na piersiach błyszczące ordery...

Co za gorżka, pełna prawdy ironja!

Miejsce dawnych marzeń o miłości i wolności ludów, zajęła „epoka żelazna"; prorocy jej otworzą światu królestwo gwałtu i przemocy a nowe, młode pokolenie wzrastające w tej przygnębiającej atmosferze „zrzekło się marzeń zdradliwych słodyczy". Z chłodem i bez uniesień zatopiwszy wzrok w ziemię, odwraca się lekceważąco od poprzedników, usiłując nawet zatrzeć ślad przeszłości.

Przebacza im jednak poeta — kończąc apologię roku 1863 słowami:

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód nasz lodem spada nam na serce,

My błogosławim wam, rycerze sztuki,
Narodowego długu spadkobierce,
I za trud przyszłych mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń...

Nietylko w tym utworze rozbrzmiewa ton miłości ojczyzny, namiętne pragnienie wolności i niepodległości — prawie z każdego wiersza odzywa się mniej lub więcej głośno ów ton minorowy, to w formie ironji, to w wybuchu pełnym ognia ku czci okajdanionej ojczyzny, to w przestrodze skierowanej ku tym, w których ręku jej przyszłość spoczywa.

(Ciąg dalszy nastąpi).